Nr. 36. We Lwowie dnia 3. września 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z cyklu »Polonia irredenta«.

PODZIEMIA.

IX.

Nowy chodnik.

W kamiennym chodniku pięć lampek się pali
I pięciu górników widnieje.
Śród ciszy przewierca opokę ząb stali
I głucho tam obuch o twardy głaz wali,
Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.

W tem cisza — i światła pogasły... W chodniku
Dym zawiał... Zatrzęsły się ściany,
Zatrzęsły opoki i głazy od ryku,
Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku,
Pierś dławią duszące tumany!

Po chwili śród dymu znów lampki drżą w dali,
Znów cienie tam widać człowiecze,
I znowu cierpliwie świdruje ząb stali,
I głucho znów obuch o twardy głaz wali,
Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecze...

Ty twarda opoko! O stali ty krucha!
Jak długo potrzeba kuć drogę,
By tędy przejść mogła promienna otucha
W świat grozy, gdzie mina za miną wybucha,
Gdzie losy, gdzie życie tak wrogie!

O krucha ty stali! O twarda opoko!
Ach, nieraz dłoń jeszcze omdleje,
Kuć jeszcze potrzeba daleko, głęboko,
Nim runiesz, o ludzkich praw twarda opoko,
Nim nowe cię zwalą ideje! —

X.

Na pochylni.

W chodnikach grzmią miny, rwie oskard, wre praca,
I sypią się czarne djamenty,
Sznur wózków odbiega, sznur wózków powraca,
Już pamięć ich liczby potworne zatraca,
Wre głucho bój zysku zacięty!

Po szynach pochylni grzmią wózki bez końca,
Z czeluści wzlatują zaświata,
Unoszą te czarne djamenty w kraj słońca!
Tam suną wagony, pociągi bez końca,
Tam armja pociągów ulata!

Hej, prędzej! Czy drogę zamknęły straszydła?
Tam drzemią pociągi na torze! —
Dość węgla!? — Ptak-agent rozwinie wnet skrzydła,
Jak pająk na rynkach rozsnuje swe sidła —
Świat wre tu i stanąć nie może!...

Hej, dalej, hej, prędzej! szynami do góry!...
Gdy rynki gór węgla nie zmieszczą,
Dźwigajcie tam hałdy chociażby w lazury!
Niech wiecznie pochylnią grzmot huczy ponury,
Precz z głuszą, precz z ciszą złowieszczą!...

Hej, ruchu!... Kto stanął na torze pochylni,
Już nigdy w spokoju nie legnie!
Lecz dokąd my bieżym, my ludzie omylni?...
Świat cały po jakiejś szaleje pochylni,
I nie wie, jak kresu dobiegnie!

Daremnie odwraca wylękłe swe oczy,
Błagalnie zatacza je w kole,
Daremnie ostrzega głos wieszczów proroczy, —
Już nic go nie wstrzyma, pochylnią się toczy,
Aż tam się roztrzaska na dole! —

Przypiski.

IX. Nowy chodnik.

Właściwie chodnik poprzeczny (Querschlag).

X. Na pochylni.

Autor ma na myśli pochylnie, wiodące z głębi aż na powierzchnię ziemi, któremi to pochylniami, niezależnie od szybów, wydobywa się węgiel.

Sznur wózków odbiega, sznur wózków powraca,
Już pamięć ich liczby potworne zatraca...

W r. 1893 na kopalni Jerzy w Niwce dobyto 43,205.678 pudów węgla, więc dziennie 154.306, w ciągu jednej zmiany 77.153, więc wózków 2755, czyli, że w przeciągu jednej godziny przelatywało po 275 wózków, mieszczących po 5 korcy węgla.

Tam suną wagony, pociągi bez końca,
Tam armja pociągów ulata...

W Królestwie Polskim w r. 1893 wydobyło 193,303.821 pudów węgla. Dla przewiezienia tej ilości w wagonach 610-pudowych, potrzebaby użyć co najmniej 316.892 wagonów, czyli 150-osiowych pociągów przynajmniej 4225. Wiadomo jednak, że wydajność kopalń znacznie się wzajem od siebie różni i wynosi na dobę od 14 do 300 wagonów. Według tego obliczenia potrzebowałaby Francja dla przewiezienia swej produkcji w r. 1892 t. j. 1.596.919 pudów przynajmniej 34.903 pociągów, Niemcy w r. 1894 (wydobywszy już w pierwszym kwartale 1.319,727.924 pudów) 115.384 pociągów, a Stany Zjednoczone w r. 1892 na 2.619,482.664 pudów 229.025 pociągów. Gdyby te 229.025 pociągów węglowych ustawić w jednej linji, zajęłyby one 15.000 mil geograficznych.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894.

(Dokończenie).

Jeżlim dobrze streścił całe ówczesne dzieje, pokazuje się, że autor »Traugutta« zupełnie je przekręcił, nie szczędząc insynuacji, nawet oszczerstw, przeciw prawdziwym twórcom powstania, ku chwale owych wstecznych żywiołów, do których sam należy, a prawdopodobnie i wówczas należał. Zostaje mi jeszcze wykazać, że autor oczernia równie tych, których sobie wziął za bohaterów, mianowicie Romualda Trauguta i jego towarzyszy, ale zupełnie innym sposobem. Narzuca im mianowicie opinje, których nie mieli, czyny, których nie popełnili, skrywa prawdziwe ich działania, a to, żeby ich koniecznie zapisać do swojego stronnictwa, które chyba niebardzo jest bogatem w ludzi nieskazitelnego charakteru, jakimi byli Traugut, Krajewski, Żuliński i inni, a ma dosyć takich Awejdów i Majewskich. Wykazanie to jest nader łatwem i na niem zakończę swoje streszczenie.

Szanowny autor zaczyna od tego, że stanowczo zaprzecza, jakoby Traugut objął rządy z namowy ks. Czartoryskiego, jak piszą prawie wszyscy, mianowicie Berg (III. 359), i sam Traugut powiedział (tamże 360): »co się tyczy mojego przybycia do Warszawy 10 października 1863 r... poddałem się namowie moich krakowskich przyjaciół«. Autor zaś pisze (II. 66, 71): »Legenda ta... zbyt uporczywie powtarzana, najzupełniej mylna... ks. Władysław Czartoryski do tej chwili ciekawej, *jak nam sam oświadczył*, żadnych wskazówek nie posiada«. Ale z całego jego opowiadania (tamże 70, 71) widać, że się Traugutt umawiał z Czartoryskim i Plonplonem, sam przyznał się do namówienia i natychmiast zrobił, co tym panom trzeba było, to jest, wyrzucił czerwonych i Mierosławskiego. Wywód jasny jak dzień. Traugutt nie znał wcale organizacji i jej dziejów; zaraz po ucieczce z Litwy był posłany jako inspektor do Galicji i za granicę, gdzie wszystko przed nim skłamano i wmówiono w niego, że Ojczyznę zbawi wypędzeniem anarchistów, ku większej chwale Pana Boga i Matki Boskiej. Zaprzeczenie autora »Traugutta« jest więc wierutnem przekręceniem faktów, zrobionem dla tego, by oczyścić J. O. księcia, który, sam siedząc bezpiecznie w Paryżu, posłał Traugutta na śmierć niechybną dla ostatecznego zatamowania ruchu — co mu się w zupełności udało.

Trzeba było potem autorowi dowieść, że Traugutt rzeczywiście uratował Polskę od *anarchji* i dla tego wymyślił taki kunsztyk: »Dzień przybycia Traugutta do Warszawy — pisze — był dniem, gdy ratusz gorzał, palony z polecenia organów owego rządu *czerwonych*« (II. 73). Otóż Traugutt przyjechał, jak sam mówi, jak liczni świadkowie stwierdzą i jak pisze sam jego bjograf (II. 77), 10 października, prawie natychmiast rządy objął (autor mówi 17 października, ale Berg pisze inaczej) a *ratusz zgorzał* 18go w niedzielę (Berg III. 367). Więc albo nowy dyktator był malowanym rządcą, albo — jak utrzymują świadkowie i uczestnicy — *on kazał spalić ratusz*. W każdym razie twierdzenie autora, dla efektu, że pożar zdarzył się w dzień jego przyjazdu, jest także wierutną nieprawdą. Późniejsze dekrety dyktatora najzupełniej stwierdzają, że skoro się rozpatrzył, wcale się nie

usuwał od takich gwałtownych i niezbędnych czynów.

Dalej autor z niezwykłą zręcznością przedstawia nam cały obraz działalności Traugutta w tak przewrotnem świetle, jak gdyby on dla tego tylko objął rządy, by zgnieść hydrę anarchji, po prostu mówiąc, by wytępić prawdziwych ludowców (II. 100—102, 119—121). Co chwila przytacza takie zdania: »Każdy krok śmielszy głów, wzniecających domowy niepokój, gardłem można było przepłacić« (str. 101). »Z wszelkimi intrygantami i wichrzycielami należy postępować z nieubłaganą surowością... jest to walka z najobrzydliwszą frakcją, która swoją własną korzyść (myślałby kto, że mowa o bankierach i posiadaczach majoratów!) wyżej nad dobro ojczyzny przenosi... uważał (Traugutt) opozycjonistów za wrogów gorszych od tych, co rozszarpali ojczyznę...« (str. 101). »Oprócz Moskwy i Niemców mamy jeszcze gorszych, bo domowych wrogów: adherentów Mierosławskiego« (str. 102) »Starajcie się nie pozwalać tej brzydocie zagnieżdżać się — tępić na każdem miejscu, niech nigdzie przytułku nie znajdą, niech przynajmniej polskiej nie kalają ziemi..« (str. 118). I to się pisze o Polakach, o tych, którzy służyli wiernie Rzeczypospolitej, wówczas kiedy p. Traugut bił się w Sewastopolu pod dwugłowym sępem! I ani słowa nie ma o tępieniu Wielopolskich, Bergów, Witkowskich, G . . . .! Przypomina to mimowoli propozycję zdrajcy nad zdrajcami, Oskara Awejdy, który chciał karać śmiercią wszystkich w i c h r z y c i e l i, dla tego, że przygotowywali zamachy na Konstantego, na Berga i na Zygmunta Wielopolskiego, i gdyby było prawdą, mogłoby obrzydzić Trauguta przed całą potomnością.

Na szczęście tak nie jest. Poczciwy Litwin został okłamany przez swoje białe otoczenie, przez takiego np. Wacława Przybylskiego, redaktora carskiego *Kurjera Wileńskiego*, który na mnie samego wydał wyrok śmierci jeszcze w r. 1862, bom chciał chłopów uzbroić, ale który, broń Boże, palcem nie ruszył przeciw Murawiowowi. Zresztą, jako gorliwy katolik, piszący całe stronice o obowiązkach »żołnierza chrystusowego« (str. 105) (coby był na to sam Chrystus powiedział?), Traugut miał fanatyczną nienawiść ku wszystkim »niedowiarkom«, jakim był n. p. blagier nad blagierami, Mierosławski, i nigdy się z nimi pogodzić nie mógł. Ale godził się z Piotrowskim, z Waszkowskim, i skoro się rozpatrzył, wstąpił śmiało, lecz za późno, na drogę, wytkniętą przez Komitet Centralny. Sam autor »Traugutta« tego skryć nie może, i cytuje dekret z 27 grudnia 1863 r. (str. 109), którym naznacza się »kara śmierci« na tych, którzy zmuszali, przy pomocy Moskali, chłopów do pańszczyzny. Chociaż autor zaznacza (rzecz bardzo wątpliwa), że Gołemberski zajął się wykonaniem tego dekretu w Krakowskiem, musi przyznać, że »dekreta pozostawały literą martwą«. I nie dziw: wścibiono już do organizacji samych przyjaciół pp. Przybylskich i Dubieckich, i już na początku 1864 r. szlachta rzuciła się hurmem do podpisywania carskich »adresów« i do łapania niedobitków powstania (Berg III. 435—438).

Traugut poszedł jeszcze dalej. Kiedy jego wspaniała niby, a w praktyce zupełnie bezsensowna organizacja wojska powstańczego, z korpusami, dywizjami, generałami i sztabami (II. str. 102—106) spełzła koniecznie na niczem. Traugut, zabraniając pod karą gardła — rozumie się bezskutecznie — rozpuszczania oddziałów (str. 108), ogłosił to, cośmy chcieli zrobić przed rokiem, p o s p o l i t e r u s z e n i e, 27 stycznia 1864 r. (str. 123). Niestety! Nikt się już bić nie chciał, a najbardziej przyjaciele autora »Traugutta«, którzy się wymykali gwałtem za granicę, zostawiając na wyłomie tych, którzy mieli życiem przypłacić swoje łatwowierne zaufanie pp. Czartoryskim, Majewskim i Przybylskim. Sam autor »Traugutta« najnaiwniej nam opisuje tchórzostwo i zdradę całego tego stronnictwa, nie wiedząc nawet, jak dalece kompromituje się. Wówczas, kiedy Kurzyna jeździł sobie do Warszawy i urządzał kontr-rządy, które się utrzymały po upadku Trauguta, kiedy Waszkowski wszędzie latał do końca 1864 r., (II. 119. Berg II. 429, 440) ci mężni panowie wpakowali Trauguta do zamkniętej klatki, chociaż warszawska policja wcale go nie znała, i trzymali go tam, aż go sami nie wydali, drżąc ze strachu, kiedy trzeba było im przejść z Elektoralnej na Smolną (II. 86—90, 133). Sam autor nie czuje nawet, jak haniebnie on i jego przyjaciele wyglądają, siedzący jak myszy pod miotłą w więzieniu, nie śmiący odezwać się nawet, modlący się i wydający się wzajemnie (I. 211, 213. II. 147—155), kiedy im głos odważny z sąsiedniej celi zakrzyczał: »Wracaj do swej celi! pięciu kapłanów przybyło, zapewne jeden dla ciebie« (str. 155). A był to głos męża zupełnie innych przekonań i innego hartu, Jarosława Dąbrowskiego, który już wówczas d w a l a t a siedział, który się takim samym sposobem ze mną żegnał w X. pawilonie, 18 maja 1863 r., widząc mię przechodzącego ze spowiednikiem, który nikogo pod grozą śmierci nie wydał, jak owi Awejdowie, Majewscy, Morawscy, Przybylscy, a mógł przecież ich wszystkich, mię pierwszego, jeszcze przed powstaniem wysłać na szubienicę.

Zrobię tu jedną uwagę. Z dzieła, o którem mowa, zdawałoby się, że autor wyśmienicie zna wszystkie fakty pobytu Trauguta w Warszawie i że przynajmniej takie szczegóły powinne być prawdziwemi, nawet kiedy autor przekręca daty i zdarzenia ku chwale tych, którzy od wieków gubią biedną Ojczyznę naszą. Tymczasem i tu nasuwają się poważne wątpliwości. Autor opisuje tak szczegółowo mieszkanie Traugutta na Smolnej Dolnej, dodając, że w pobliżu mieszkał także Marjan Dubiecki — że jego opowiadanie powinno być zupełnie wiarygodnem. Ręczę jed-

nak, że albo się omylił, co niepodobna, albo zapomniał, albo przekręcił wszystko podług Berga; tem śmielej ręczę, że na tej samej Smolnej Dolnej upolował mię p. Wielopolski 22 grudnia 1862 r. Podług autora Traugutt mieszkał pod nr. 1 u p. Majewskiej (Kirkorowej), w domu Augusta Wolkiewicza, gdzie teraz szkoła weterynarji, a w oficynie mieszkał Marjan Dubiecki; dom ten miał być jedynym przy tej ulicy (II. str. 87, 88). Opisanie zgadza się najzupełniej z Bergiem, prócz nr. 1, którego wówczas być nie mogło (były numera hipoteczne), i nazwiska właściciela — u Berga nazywa się on Wilkowujskim (Berg III. 362). Tymczasem na Smolnej Dolnej, z lewej strony od Książęcej, gdzie mógłby być nr. 1, jest i był na rogu ogród szpitala św. Łazarza, a dalej był domek za ogrodem Izby Obrachunkowej, ale zupełnie inny, z wschodkami od ulicy, gdzie mię właśnie złapano i gdzie był wówczas skład artyleryjski. Na prawo zaś jedynym wówczas domem była fabryka maszyn i narzędzi Banku Polskiego nr. 3041 b, z wejściem od Książęcej i Ludnej. Zdaje się, że autor miał na myśli właśnie ów domek na lewo, nr. 1286 b, należący podług »Taryfy m. Warszawy« Świątkowskiego z r. 1852, do Augusta Wolkiewicza, i zajęty obecnie przez szkołę weterynarji. Ale gdzie się podział skład artyleryski, który tam istniał z pewnością w 1863 r.? Czy autor, mówiąc o »jakichś fabrykach na Solcu« i mieszkając tam, nie wiedział, że była to fabryka Banku, dziś Lilpopa? Wygląda to wszystko, jak przerobione z Berga, który się widocznie omylił, i dziwi mię bardzo ze strony blizkiego towarzysza i powiernika Trauguta.

Wracam do dyktatora. Opuszczony przez białych, Traugut poszedł dalej po drodze, po której z samego początku powinien był kroczyć, i nie licząc już na interwencję mocarstw, którą go Czartoryski całą zimę mamił, w marcu chciał zawrzeć umowę z żywiołami rewolucyjnymi Włoch i Węgier (II. 131), czyli z Mazzinim i Koszutem, których Majewski i Czartoryski odepchnęli w czerwcu 1863 r. Za późno! Zresztą sam autor mówi, że sami ministrowie, mianowicie dyrektor spraw zagranicznych byli temu zamiarowi przeciwni i dla tego ostatni odważył się (o zgrozo!) przyjść z latarką do dyktatora na Smolną (str. 133, 134). Następuje patetyczny opis niebezpieczeństwa, śmieszny do dziwaczności, ale zarazem nader smutne są te objawy zgnilizny całego stronnictwa.

Sam autor opisuje nam dokładnie całą jego moralną nicość, kiedy wskutek — jak się domyślam — wskazówek Awejdy, biali urzędnicy nieszczęśliwego dyktatora zaczęli wszystkich zdradzać; tego jednak darować mu nie można, bo jest to fałsz wierutny, że zdrajców chce koniecznie przypiąć, mimo całej oczywistości, do czerwonych i do Chmielińskiego. Zdradził Jan Ławcewicz, sekretarz Janowskiego (II. 137, Berg III. 375), zdradził Karol Przybylski, brat Wacława, filara białych od r. 1862 (II. 141), zdradził Cezary Morawski, kolega Dubieckiego z Kijowa, mianowany przez Trauguta (II. 117), codzienny gość na Smolnej (Berg III. 375), a autor śmie rzucić podejrzenie na Jana Wernickiego (II. 140), który zresztą nie mógł zdradzić rządu, do którego od roku nie należał. *Fi, monsieur le sécretaire!* I wkrótce padli ofiarą p. B. (I, 207), Dubiecki (II. 147), Traugut (II 148), Roman Żuliński, Rafał Krajewski, Jan Jeziorański, Józef Toczyski i wielu, wielu innych.

Nieprawdą zresztą jest, jak pisze autor, by aresztowanie Trauguta 10 kwietnia 1864 r. spowodowało upadek powstania. Powstanie już upadło po rozbiciu Bosaka, po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicji, po zdradzie Awejdy, po masowem odstępstwie całej szlachty w Kongresówce. Trzymali się jednak w samej Warszawie przez cały 1864 rok ludzie dobrej woli, Waszkowski, Brzeziński, niedobitki dawnej organizacji, na prowincji ks. Brzoska, Kuszłejko na Żmudzi i inni, ale biali, owi towarzysze autora, co do jednego sprzeniewierzyli się. Nie rozumiem także, dlaczego autor kończy twierdzeniem, że owe pięć ofiar 5 sierpnia 1864 r. nie stanowiły Rządu Narodowego (II. 158). Idzie mu widać głównie o to, by wybielić nieboszczyka kardynała Dunajewskiego i dlatego oskarża Moskali o wymysł i fantazję, kiedy go także, w wyroku ostatecznym, zaliczyli do Rządu; nie śmiem twierdzić, by należał do ruchu, chociaż on prawdopodobnie, za moich czasów, redagował *Głos Kapłana* *). Mniejsza o to, czy Krajewski, Toczyski, Jeziorański, Żuliński stanowili Rząd w komplecie, kiedy ich ujęto i powieszono; byli to rzeczywiście najwydatniejsi pracownicy czasów Trauguta, razem z doktorem Dybkiem, i warci byli zostać uosobieniem ginącego Rządu białego dyktatora. Nie zrobili wiele, ale też nikogo nie zdradzili i zostali wiernymi do końca. Byłem ich przeciwnikiem, walczyłem osobliwie z Dybkiem, który daleko lepiej byłby zrobił, gdyby się był wziął razem ze mną w listopadzie 1862 r. do tej samej pracy, którą chciał uskutecznić jak raz o rok później — ale muszę oddać hołd należyty ich charakterowi i ubolewać nad łatwowiernością, z którą się poddali obiecankom Targowicy. *Sit eis terra levis!*

Tuszę, że w tej przydługiej recenzji dość jasno dowiodłem, że zamieszczone w tomie IV. »Wydawnictwo Materjałów do historji powstania« pamiętniki, a osobliwie monografja »Romuald Traugutt i jego dyktatura« grzeszą przeciw naj-

*) Ciekawym dowodem katolickiej zawziętości autora »Traugutta« jest to, że przy tej sposobności mocno napada na Artura Wołyńskiego, mówiąc, że do organizacji nie należał i nie potrzebował emigrować, a na następnej stronicy (159) przyznaje, że pracował u Gzowskiego i u Dubieckiego. Ale trzeba było skarcić — apostata.

elementarniejszym zasadom bezstronności, prawdziwości i patrjotyzmu, i dlatego wcale w takiem wydawnictwie nie powinne znaleźć miejsca. Redakcja powinna je była przynajmniej dopełnić uwagami i sprostowaniami, oprócz tych kilku dopisków, które się w zesz. II. znajdują (str. 66, 84, 121, 127, 129, 159, 161). W teraźniejszym stanie przedstawiają one zupełnie fałszywy obraz ówczesnych wypadków, nie tyle co do faktów, ile co do samego kierunku i zawierają przytem moc oszczerstw tendencyjnych, które mię zniewoliły do odpowiedzi. Chwalenie zaś jawnych zdrajców Ojczyzny: Wielopolskiego, Awejdy, Majewskiego stanowiłoby zdradę stanu w niepodległem państwie, i powinno być uważane jako takie przez polskie społeczeństwo, jeźli się poczuwa do samoistności. Sprostowałem o ile mogłem błędy i przekręcenia, a gdyby inni ówcześni działacze to samo zrobili, mielibyśmy prawdziwe materjały, dla nauki i pożytku przyszłych pokoleń. Może się często omyliłem, ale z pewnością ani fałszu ani oszczerstwa się nie dopuściłem.

Bronisław Szwarce.

Na granicy świadomości.

(URYWEK).

Nieszczęście spadło nagle — jak piorun. Co najdziwniejsza, iż piorun ów zagrzmiał nad cichem, łagodnem morzem, leniwie poruszającem masywną falą..... Wypadł z przeczystych niebios, spoglądających na morze rozmarzonemi oczami południowych gwiazd. Nawet ten księżyc, połyskujący młodziuchnym sierpem, podsuwał myśli raczej idylle pasterskie wśród mirtów i platanów, niż okropności agonji, niż konwulsje konania i ostatnie jęki rozpaczy bez granic. A jednak nie mogło być nawet promyka nadzieji. Dokoła morze, szeroko jak świat roztoczone — spokojne, lecz nielitościwe. Los był przynajmniej o tyle łaskawy, że większość podróżnych z »Atheny« zginęła nagle, w swych okrętowych sypialniach, gdzie śmierć pochwyciła ich w swe pazury, jak straszna zmora nocna. O wiele gorzej było tym kilku, którzy zdążyli rzucić się wpław na fale, i w powolnych torturach słabnących członków dłużej i straszliwiej czekać musieli aż całun morski ich pokryje.

Lecz była jeszcze jedna kategorja. Przedzielona niejaką odległością od zapadającego się już statku, kołysała się wśród bałwanów niewielka łódź ratunkowa z czterma chroniącymi się w niej majtkami. Oni jedyni, pełniący służbę nocną na statku, przeciwstawili błyskawicznemu nieszczęściu błyskawiczną też kombinację. W mgnieniu oka zepchnęli łódź na wodę i zawołali w tym samym momencie: »Ratujcie się!« do dwóch tylko czuwających na pokładzie podróżnych. Poczem skoczyli w czółno i oddalili je paru uderzeniami wioseł od ginącego nagle okrętu. Na pokładzie było wprawdzie wielu biedaków rozlokowanych w najdziwaczniejszy sposób i smacznie śpiących pod oddechami miękkiego, wilgotnego wiatru, ale nie warto było nawet ich budzić, by rozpaczliwe ich zamięszanie poprzedziło rozpaczliwy a nieunikniony koniec. Czterem marynarzom przemknęło w myśli pytanie — czy pomocnik kapitana, kierujący w tej chwili statkiem, umarł, zwarjował — czy też się upił, zasłabł lub zasnął? Coś podobnego musiało go spotkać, choć nigdy dotąd nie spotykało. Statek najniewątpliwiej zboczył z swej drogi właściwej, gdy tymczasem najmniejsze zboczenie z niej w tym punkcie groziło przebiciem o niezliczone rafy podwodne. Dziura musiała być wielka, a może odrazu zjawiło się ich kilka, bo okręt wstrząsł się jak szalony, pochylił się, jak gdyby z czegoś się staczał, a potem jął się pogrążać, jak kula ołowiana. Rozbitki nie mieli, naturalnie, czasu, zastanawiać się nad tem. W okamgnieniu znaleźli się oni w łodzi, w okamgnieniu też odsunęli się od statku, a jednakże — w toż samo okamgnienie dwaj czuwający pasażerowie, nie zdoławszy już trafić do łódki, rzucili się wpław do niej. Statek pogrążył się już, jak kamień... rzucono im z szalupy linę... W tej samej chwili »Athena« zapadła w morze, a na jej miejsce wzbiły się dwie ciemne ściany wód, szalejących przez moment.... Marynarze z trudnością wciągnęli do łodzi ciężkie, przemoknięte ciało, z pięściami ściskającemi konwulsyjnie linę ratunkową — i z gorączkowym pośpiechem uchwycili wiosła, by uciec z fatalnego koła rozbujałych bałwanów. Drugi z pływaków, walczący przez chwilę z falami obok poprzedniego, znikł nagle wśród owych ciemnych ścian wody, które wchłonęły »Athenę«. Łódź także chyba zatonie... Jak piłka skacze i w dół spada... Lecz jakoś się przecie wydobywa, dygocze, chwieje się, jakby rozbita, coraz to dalej od tamtej zamkniętej czeluści. Jeszcze chwil kilka straszliwej obawy — i jeszcze kilka ogromnych bałwanów... A potem znów morze wyściela się kobiercem złoconym w arabeski z gwiazd i promieni księżycowych — i tak słodko, tak pieszczotliwie kołysze łódź na swem łonie, że owa mizerna skorupa, płynie po niem, jak łabędź po cichej sadzawce królewskiego parku.

Ludzie z łódki nie oglądają się wcale. Bo i pocóż zresztą? Łódź to najmniejsza z łodzi »Atheny«. Wszystko musiało już zginąć! Niema kogo ratować! Milczą więc ponuro, po kilku lakonicznych uwagach o domniemanych przyczynach katastrofy. Natomiast, zajęci losem własnym baczą na posuwanie się czółna i wytężonym wzrokiem szukają na horyzoncie sylwetki jakiegoś statku. Noc jasna — i nie powinni być jeszcze daleko od tego szlaku morskiego, który

się mąci setkami okrętów, wiodąc z Brindisi do Aten. Jakoż naprawdę byli niedaleko od słynnej drogi handlowej. Po chwili oczekiwania ujrzeli światło, zwiększające się szybko. Doświadczone ich oczy dostrzegły bez trudności, iż jest to duży parowiec, zmierzający na ich spotkanie. Poczęli mocno pracować wiosłami w stosownym kierunku, gwarni, radośni. Niebawem też ludzie z załogi włoskiego parowca usłyszeli ich głosy, wzywające pomocy. Za parę minut łódź ich już się tuliła do silnej piersi zbawczego statku.

— Czasem i łódź ratunkowa naprawdę się przyda — wymówił zmęczonym, lecz pełnym ironji głosem, jedyny uratowany podróżny z »Atheny«, apatycznie wstępując na pokład parowca. Od czasu jak przemokniętego i drżącego wciągnięto go do łodzi i tam rzucono na środek, jak ciężki ładunek — przemówił po raz pierwszy.

Janina B. de C.

(D. c. n.)

KARTKI NAUKOWE.

Postępy chemji: nowy sposób wypiekania chleba; sztuczna bawełna. — Chemja przyszłości. — Przemysł w roku 2000. Kremacja zwłok.

Wypiekanie chleba uległo w naszem stuleciu bardzo ważnym ulepszeniom, pomimo to chleb jest ciągle przedmiotem pieczołowitości dla hygienistów i chemików, ponieważ przyrządzanie jego wymaga jeszcze znacznych zmian, aby pokarm ten odpowiadał wszelkim warunkom zdrowotności. Możemy spodziewać się, że w przyszłości zupełnie zaniechany będzie pierwotny sposób mieszenia chleba rękami, jako wielce wadliwy ze względu na hygienę. Zamiast rąk ludzkich, używanem będzie mechaniczne m i e s z a d ł o, a z pewnością spożywać będziemy wówczas chleb czyściejszy i zdrowszy.

Gatunek wody, używany do przyrządzania chleba, posiada również pierwszorzędne znaczenie i dlatego przed dwoma laty hygieniści oraz lekarze paryzcy objawili żądanie, aby piekarze w czasie epidemji cholery, używali do chleba wody sterylizowanej poprzednio za pomocą gotowania; przekonano się bowiem, że ciepło, niezbędne do upieczenia chleba, nie niszczy bakterji, znajdujących się w wodzie, przeto w czasie epidemji chleb może stać się jednym ze środków szerzenia choroby.

Wreszcie pozostaje wprowadzić jeszcze jedno ważne udoskonalenie w fabrykacji chleba, a mianowicie usunąć wadliwy sposób fermentacji, dokonywanej obecnie za pośrednictwem tradycyjnych rozczyn. Jak wiemy, drożdże używane są w tym celu, aby wywołać wydzielanie się z ciasta gazów; tym sposobem chleb r o ś n i e, staje się dziurkowaty i pulchny. Otóż tę zmianę w chlebie sprowadzić można chemicznym sposobem. W tym celu chemicy radzą używać bezpośrednio kwasu węglanego, rozpowszechnionego obecnie w handlu; sprzedaje się on w płynie w żelaznych syfonach; przy otworzeniu syfonu gaz ulatnia się natychmiast. Jeżeli tedy za pomocą rurki puścić z syfonu prąd kwasu węglanego do przygotowanego ciasta i mięszać takowe w ciągu godziny, to chleb nasyca się kwasem węglanym. Następnie pozostaje tylko nadać mu kształt i wsadzić do pieca. Gaz pod wpływem ciepła ulatnia się całkowicie i podnosi ciasto, tak jak przy używaniu drożdży. Tym sposobem zostaje skróconą naturalna praca a zachowuje się czystość oraz bezpieczeństwo dla spożywców.

Chemicy, ośmieleni dotychczasowem powodzeniem, dążą coraz wytrwalej do naśladowania rozmaitych wytworów naturalnych i zastąpienia ich sztucznemi. Substancje, dające się przerabiać na tkaniny, szczególniej są poszukiwane. Tak np. wynaleziono już sztuczny jedwab, wyrabiany z nitrocelulozy oraz jedwab drzewny, tak dalece podobny do jedwabiu naturalnego, że obawiano się początkowo, aby hodowla jedwabników nie upadła. Istotnie włókna sztucznego jedwabiu są mocne, łatwo przyjmują farbę i druk, ale posiadają tę niedogodność, że są łatwo zapalne, podobnie jak bawełna strzelnicza i dlatego wartość sztucznego jedwabiu została obniżoną.

Obecnie jakiś wynalazca wyrabia sztuczną bawełnę z drzewa sosnowego, jodłowego i modrzewiowego. Według sprawozdań pism, sztuczna bawełna nadaje się do wszelkiej fabrykacji na równi z bawełną naturalną, a jest od niej tańsza. Jeżeli rzeczywiście sztuczna bawełna rozpowszechni się w handlu, to życzyć należy, aby sprzedawano ją pod jej właściwym nazwiskiem, to jest, aby nie wydawano jej za bawełnę naturalną, która, bądź co bądź, posiada odmienne własności.

Tak więc w XX stuleciu będziemy może przyodziewać się w szaty z drzewa sosnowego i jodłowego, z czasem zaczną zapewne wyrabiać tkaniny z dębu, wierzby, lauru itp., stosownie do gustu, mody i ceny — dzięki cudom, jakie wciąż wywołuje chemja. Wprawdzie chemicy obiecują nam w przyszłości cuda nierównie więcej zdumiewające. Chemja przekształci z czasem zupełnie teraźniejszy nasz przemysł, a wraz z nim zmienią się dotychczasowe stosunki międzynarodowe, jakoteż dzisiejsza cywilizacja. Główne zadanie nowoczesnego przemysłu polega na tem, aby wynaleźć źródło niewyczerpanej energji, odnawiającej się prawie bez pracy. Energja owa potrzebną jest do wprawiania w ruch rozmaitych machin. Już w naszych czasach maszyny parowe zastąpiły siłę rąk ludzkich, czerpiąc energję w paleniu się węgla kamiennego. Lecz węgiel trzeba mozolnie wydobywać z ziemi, a w dodatku ilość jego wciąż się zmniejsza w kopalniach. Przyjdzie czas — mówi znakomity chemik Berthelot — gdy

zmuszeni będziemy zużytkować ciepło słoneczne, oraz ciepło, zawierające się w łonie naszej ziemi. Nieustanne postępy nauki upoważniają nas do przypuszczenia, iż nastąpi epoka, w której znajdziemy sposób pochwycenia tych niewyczerpanych źródeł ciepła, to jest energji. Aby zawładnąć ciepłem ziemi np., należy kopać studnie, mające 3 do 4.000 metrów głębokości, co nie przechodzi zapewne umiejętności teraźniejszych naszych inżynjerów, a bezwątpienia stanie się możliwem dla inżynjerów w przyszłości. Wówczas w ziemi naszej znajdziemy ciepło, będące źródłem wszelkiego przemysłu; gorąca woda, znajdująca się na dnie owych studni, wyda ciśnienie pary, mogące wprawić w ruch wszelkie maszyny. Na owej głębokości znajdziemy zatem źródło energji cieplikowo-elektrycznej, odnawiającej się nieustannie i obfitej na wszystkich punktach kuli ziemskiej; upłynie wiele tysięcy stuleci, zanim to źródło zmniejszy nieco swą siłę.

Gdy owładniemy tem źródłem energji, mówi dalej Berthelot, wówczas fabrykacja wszelkich przetworów chemicznych stanie się niezmiernie łatwą i tanią. Znajdziemy wtedy zapewne rozwiązanie najważniejszego zadania chemiczno-ekonomicznego, to jest wytwarzanie produktów spożywczych. Wprawdzie zadanie takie jest obecnie rozwiązane w zasadzie, bowiem chemicy umieją już wyrabiać sztuczne tłuszcze, rozmaitego rodzaju cukier oraz inne węglowodory, a fabrykowanie ciał białkowych niedługo zapewne każe czekać na siebie. Zatem w przyszłości, gdy ciepło otrzymywać będziemy tanim sposobem, łatwo będzie wyrabiać produkty spożywcze za pomocą węgla, otrzymywanego z kwasu węglanego, z wodoru i tlenu, zapożyczonych od wody i wreszcie z azotu, wydzielonego z powietrza. Staniemy się naśladowcami roślin w tym względzie, które z mineralnych ciał wyrabiają substancje organiczne, lecz wyrabianie materjałów spożywczych w fabrykach będzie niezależnem od kapryśnych pór roku, deszczu lub posuchy, upałów i mrozu.

Jeżeli przewidywania takie spełnią się w przyszłości, to chemja dokona takich przewrotów, iż trudno nawet przewidzieć do jakiego stopnia zmieni się wygląd naszego świata, oraz społeczeństw ludzkich. Oby się tylko owe błogie przewidywania spełniły, gdyż wówczas ziemia nasza rzeczywiście stałaby się owym rajem, poszukiwanym przez wszystkie ludy. Obfitość pożywienia bez wielkich wysiłków pracy i dostatek dla wszystkich ludzi. Zapanuje wtedy prawdziwe braterstwo między członkami społeczeństwa, gdyż upadnie podział na sytych i głodnych. W owym czasie nie będziemy potrzebowali zapewne mordować zwierzęta dla naszego wyżywienia — konieczność bądź co bądź smutna. Lecz kiedy ów Eden objawi się na ziemi? Nie prędko jeszcze. Berthelot ukazuje nam takie cuda w roku... 2000.

Chemja i wszędzie chemja rozpościera swe panowanie nad żywymi i zmarłymi, bowiem kremacja ciał jest niczem innem, jak zastosowaniem chemji: w ciągu jednej godziny dokonywa się zupełny rozkład ciała, pozostają jedynie popioły, tak jak i przy rozkładzie w ziemi po wielu latach. Lecz o ileż kremacja jest szlachetniejszym sposobem grzebania zmarłych! Istotnie jest coś głęboko bolesnego dla uczuć ludzkich w owem składaniu do ziemi szczątków drogich nam osób; oddawaniu ich na pastwę wilgoci oraz żarłoctwa robactwa, owych »pracowników śmierci«, którzy zabiorą drogie nam zwłoki w swe posiadanie i nie opuszczą ich aż do chwili, gdy pozostaną jedynie prochy.

Z jaką to godną uwagi regularnością rozmaite owady gromadzą się na zwłokach stosownie do stopnia rozkładu takowych. Owad, zwany *Lucilli*, pierwszy rozpoczyna swą ohydną biesiadę, a resztki swej uczty pozostawia chrząszczom, żywiącym się kwasami tłuszczowemi. Trzecia uczta, to trzeci okres rozkładu: wstrętne czerwie *Phory* i *Authomyi* z roskoszą nurzają się w czarnej cieczy, w którą przekształciła się istota ludzka. W końcu zwłoki w proch się obróciły; wyschła skóra i ściągna jeszcze pociągają ostatnich biesiadników, są to kolonje molików, noszących naukowe nazwy *Tyroglyphus*, *Glazyphagus*, *Uropoda*, które obierają tu sobie siedlisko i nie ruszą się z miejsca, dopóki pozostaje jeszcze choć jedna kość...

Kremacja, rozpowszechniająca się coraz więcej z każdym rokiem, uwalnia wyobraźnię naszą od tych przerażających obrazów, od tych potwornych widziadeł.

A ileż to kremacja świadczy zarazem usług hygienie publicznej, trudno nawet obliczyć. Przyjdzie niezawodnie czas, gdy kremacja stanie się obowiązkową dla wszystkich, zwłaszcza podczas epidemji cholery. Tymczasowo, dopóki trzeba jeszcze zwalczać stare przesądy, palenie zwłok nawet na Zachodzie nie jest obowiązkowem; atoli municypalne władze robią wszelkie możliwe ustępstwa, aby zachęcić obywateli do palenia ciał zmarłych; zawiązały się tu nawet stowarzyszenia, w celu propagowania powyższej idei.

Jednocześnie powstały komisje, czuwające nad tem, aby ten nowy sposób (powiedzmy raczej dawny sposób, ponieważ był on w użyciu u Słowian) grzebania zmarłych udoskonalić pod względem technicznym oraz nadać obrządkowi więcej uroczystości, otoczyć go większą godnością i czcią, należną zmarłym. W istocie kremacja może stać się równie wzruszającym i uroczystym obrządkiem, jak grzebanie ciał w ziemi, należy tylko ustanowić odpowiedni ceremonjał. Można np. trumnę, stojącą na platformie ozdobić wieńcami i kwiatami, salę obić kirem i draperjami, wreszcie muzyka i śpiewy kościelne, wykonywane podczas obrządku, nadadzą mu charakter uroczysty i podniosły.

Dr. M. Stefanowska.

W sprawie nauki o kraju rodzinnym.

(Ciąg dalszy).

Przejdźmy teraz do samego przedmiotu. Ilość i poziom wiadomości, podawanych w nauce o kraju, zależnym będzie oczywiście od okresu wychowawczego, w którym nauka przypadnie, ponieważ zaś praktyka zapewne często zniewoli do rozpoczęcia nauki tej już w wieku klasy I. lub II. więc przedmiot będzie można traktować dość wyczerpująco. W każdym jednak razie nauka o kraju rodzinnym nie może być zbiorem wiadomości o Królestwie, Galicji lub Poznańskiem, pojedyńczo wziętym. Powinna ona właśnie zagładzić w umyśle dziecka sztuczność podziału, dokonanego przez zabory, powinna objąć całość etnograficzną — Polskę.

Niestety, dość często zapominamy o tej pierwszej zasadzie, że nie jesteśmy Galicjanami ani Poznańczykami — lecz Polakami. To właśnie musi mieć na względzie nauka o kraju. Czy to mówiąc o miastach rodzinnych, powinna opowiedzieć dzieciom o Warszawie, Krakowie, Poznaniu; czy, mówiąc o dorzeczach, musi pamiętać o dorzeczu Odry, zarówno jak o dorzeczu Wisły; czy wreszcie, opisując urządzenia społeczne w kraju, powinna zawsze przeprowadzić paralelę między instytucjami samorządu a administracyjnym porządkiem zaboru rosyjskiego. Ten zaś porównawczy sposób traktowania przedmiotu, jest nietylko koniecznością w naszych warunkach, lecz będzie również wysoce pedagogicznym czynnikiem w rozwoju dziecka.

Tak więc całość nauki o kraju rodzinnym wypełni prawdopodobnie kurs paroletni. Nie wdając się zaś w zbytnie szczegóły, można przypuścić, że rok pierwszy będzie zawierać F i z j o g r a f j ę k r a j u (Polski etnograficznej), t. j. stopniowe opisanie trzech państw przyrody, ugrupowanej w nim. Oczywiście nie chodzi tu o wyczerpanie mineralogji, botaniki i zoologji, lecz o opisy minerałów, roślin i zwierząt, które odgrywały ważną rolę w życiu danej społeczności.

W tym również roku może mieć miejsce opis grup etnicznych, składających całość społeczną. Rok drugi obejmie stopniowe opisanie życia na tak poznanem terytorjum, a więc: 1) Działalność ekonomiczną (przemysł, rolnictwo, handel, komunikacja). 2) Działalność społeczno-administracyjną (oświata, sąd, wojsko, rząd). 3. Stosunki zewnętrzne (granice etnograficzne, społeczność sąsiednia).

Postępowanie pedagogiczne winno opierać się na następujących zasadach:

1) Bezpośredni wszechstronny rozbiór miejscowości rodzinnej (wieś, miasto, okolice — wycieczki, zbiory i kolekcje).

2) Bezpośrednia znajomość kilku typowych miejscowości kraju.

3) Wycieczki, zwiedzanie, kolekcje, mapy objaśniające całość t. j. kraj rodzinny.

Trzymając się ciągle metody uzmysłowienia wykładów, należy wedle możności cały materjał poznawany bezpośrednio notować z dzieckiem, za pomocą map i tablic. Mapy też i tablice powinny więc służyć jako podstawa pojedyńczych serji wykładów. Ponieważ dziecko w dwóch pierwszych latach systematycznego kształcenia przerabiało taki np. plan domu, wioski i t. p. — więc naukę o kraju rodzinnym można opierać na następujących mapach i tablicach:

Rok I.

1) Mapa widnokręgu (względnie okolic).

2) Mapa znanych dziecku miejscowości w kraju.

3) Mapa ukształtowania powierzchni i bogactw mineralnych kraju.

4) Tablica roślin ważniejszych (rośliny uprawne, lasy i t p.) krajowych.

5) Tablica zwierząt krajowych.

6) Mapa etnograficzna kraju.

Rok II.

1) Mapa wybitnych ekonomicznych miejscowości krajowych i dróg komunikacji.

2. Mapa podziałów administracyjnych, miast i t. p. (politycznie).

3) Mapa Polski wraz z państwami ościennemi.

Nie należy przesadzać co do trudności prowadzenia takiego wykładu: szemat mapy fizycznej kraju daje się z łatwością zkalkować kilkanaście razy, na każdym zaś pojedyńczym egzemplarzu trzeba tylko za pomocą znaków umówionych podkreślać odnośny dział przedmiotów. Tak np. mapa bogactw mineralnych może być przerabiana ołówkami kolorowymi; mapa fizjograficzna może być sposobem zwykłym opatrzona w znaki torfowisk, błot, rodzajów gleby i t. p.; mapa etnograficzna ma być robiona farbkami; mapa zajęć ekonomicznych może się składać z kilku symbolów dla głównych rodzajów przemysłu rolnictwa i t. d.

Niepodobna tu wdawać się w bliższy jeszcze rozbiór treści wykładów oraz ich praktyki. W każdym danym razie będzie to zależało od warunków miejscowych. Na ogół więc tylko zaznaczyć musimy raz jeszcze, że wszelkie wycieczki, zwiedzanie, robienie zbiorów — są tu podstawą, dającą wykładom życie i przykuwającą ucznia do zajęć. Co się zaś tyczy materjału historycznego, to będzie on w formie podań, zwięzłych opowieści przygodnych, rozsianych po wszystkich działach nauki o kraju rodzinnym. Tu znowu pamiętać należy, że przedewszystkiem trzeba wyczerpać materjał historyczny, nastręczany przez pewną miejscowość, związany np. ze znanemi dziecku miejscowościami. Dalej zaś w każdym pojedyńczym wykładzie podmalowanie historyczne podnosi jego wartość i zaokrągli treść.

Dok. n.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.